

Anna Pamuła

Zamach bez końca

Françoise Rudetzki nie może znieść, gdy ktoś mówi: w zamachu nie było ofiar śmiertelnych, są tylko poszkodowani. Słabe to pocieszenie.

Spotkałyśmy się pewnego słonecznego dnia w Paryżu. Czekałam na nią przy kolorowym budynku Cirque d'Hiver. Przez telefon powiedziała mi, że porusza się na wózku i woli się spotkać blisko domu – paryskie metro jest niedostosowane dla niepełnosprawnych. Dostrzegłam ją w oddali: drobna kobieca postać z burzą krótkich, ciemnych loków zbliżająca się do mnie na niewielkim pojeździe, jakby zdalnie sterowanym fotelu. Przywitałyśmy się, a ja poczułam się skrępowana tym, że muszę spoglądać na nią z góry. Chciałam jak najprędzej znaleźć kawiarnię i usiąść z Françoise twarzą w twarz. Nacisnęła joystick przy wózku, który wydał z siebie cichy szmer i poniosł ją do przodu przez ruchliwy bulwar w centrum miasta. Wchodziłam do każdej kawiarni po kolei, ale nigdzie nie mogłyśmy usiąść: w pierwszej były schody, w drugiej za wąskie drzwi, a w trzeciej brak miejsca przy stoliku dla Françoise i wózka. Wreszcie znalazłyśmy hotel z szerokim podjazdem. Hotelowy bar na szczęście znajdował

się na parterze. Françoise zamówiła ciepłe mleko i rozpoczęła swoją opowieść.

Był 23 grudnia 1983 roku. Wieczorem wybrała się z mężem Maurice'em do eleganckiej restauracji Grand Véfour w pobliżu Luwru. Bomba wybuchła o 22:41. Françoise pamięta czarną mgłę, która nagle wypełniła pomieszczenie niczym rój much. Spojrzała na siebie i Maurice'a w lustrze, odbicia zadrżały i rozmyły się w blasku świateł. Poczuli z lewej strony falę powietrza, która uniosła ją do góry. Przez kilka sekund panowała cisza. Pauza. Stop. Dusze zastygły w ciałach. Umysł człowieka rejestruje wtedy jeden obraz lub dźwięk, który pozostaje z nim do końca życia: kucharz zamykanie kurków od gazu, salowy – upadające kieliszki na stole deserowym, kelner – trzask rozbijającego się lustra, którego odłamki spadały na dywan z siłą gradobicia. Szatniarka zamknęła oczy i odczuła miazdzący ból w plecach i tyle głowy. Françoise krzyknęła: „Moje nogi!”. Nie dała rady się podnieść. Zobaczyła stojącego nad nią męża, jego marynarka była poszarpana, był ranny. Pochylił się nad nią i zapytał: – Czy dasz sobie radę? – Nie odpowiedziała. – Françoise, dasz radę? – powtórzył.

Poczuła jego niepokój i strach. – Tak, obiecuję – wyszeptwała i straciła przytomność.

Pierwsza operacja Françoise, tuż po północy 24 grudnia, trwała 10 godzin. Przez kolejne półtora roku 31 razy została poddana ogólnemu znieczuleniu. Większość czasu spędziła w szpitalach. Jej córka Deborah miała dziewięć i pół roku, nie widziała mamy przez kilka miesięcy i nie poznała, gdy zobaczyła ją raz pierwszy. Rok po zamachu Françoise dowiedziała się, że w trakcie pierwszej transfuzji krwi została zarażona wirusem HIV.

Od 1983 roku przeszła ponad 100 operacji, wciąż porusza się na wózku inwalidzkim. Ma teraz siedemdziesiąt jeden lat. Nie zgodziła się na amputację, miała więc kilka przeszczepów w obu nogach, zmiażdżonych przez ciężkie drzwi, spod których wyciągnął ją Maurice. Przez ciągły ból od zamachu nie przespala ani jednej nocy. Wypocząć kilka godzin pozwalają jej tylko tabletki nasenne. W jej ciele utkwiły setki odłamków szkła, porcelany i odprysków metalu. Co jakiś czas któryś z nich się porusza i powoduje zaczerwienienie skóry, a następnie infekcję. Czasem same wydostają się spod skóry, w innym wypadku potrzebne jest nacięcie. Większość z nich pozostanie w niej na zawsze. To jedyne ślady, jakie zostawili po sobie terroryści, którzy do tej pory nie zostali wykryci, choć poszlaki wskazywały na Action Directe, francuską organizację terrorystyczną anarchokomunistyczną, albo Carlosa z komunistycznego Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny.

Maurice'owi przez wybuch bomby pękły bębenki. Całe życie cierpiał na szumy uszne. Słyszał piski, dzwonienie, dudnienie, gwizdy, szelesty, które nie pozwalały mu normalnie funkcjonować. Nie mógł spać. Miał zawroty głowy i depresję. Zmarł trzydzieści lat później, w 2012 roku. Został pożegnany jako ofiara zamachu terrorystycznego, bo jeśli się go przeżyło, obrażenia są nie tylko fizyczne. Większość jest psychicznych. Egzystencjalnych. To rany, które najtrudniej leczyć. W ich wyniku zmieniają się relacje z bliskimi, z rodziną i przyjaciółmi. Rozstania i roz wody nie są rzadkością.

Françoise trzy lata po zamachu założyła organizację S.O.S. Attentats. Na początku lat 80. we Francji nie istniały żadne prawa, które chroniłyby ofiary terroryzmu (gdyby była ofiarą wypadku samochodowego, odszkodowanie zostałoby wypłacone automatycznie). Rozpoczęła walkę o godne życie dla siebie, innych ciężko rannych i ich rodzin. Pół roku później, w 1986 roku, weszła w życie „ustawa Rudetzki”. To Françoise

wymyśliła, by do odszkodowań dokładał się solidarnie każdy Francuz. Właściciele nieruchomości, jachtów, domów czy biur będą płacić od tej pory po 5 franków rocznie na Fundusz Gwarancyjny dla ofiar aktów terroru i innych czynów przestępczych. Obecnie to kwota 5,70 euro rocznie. To jedyny taki system na świecie, chroniący Francuzów w kraju i poza jego granicami, a także cudzoziemców poszkodowanych w zamachu na terenie Francji, nawet jeśli przebywają tam nielegalnie. Bomby przecież nie sprawdzają dokumentów tożsamości.

W zamachu 13 listopada 2015 roku w Paryżu zginęło 138 osób. Rannych było 413. W sumie po pomoc medyczną, prawną i psychologiczną zgłosiło się w ciągu następnych lat 3000 poszkodowanych, w tym ich rodziny, przyjaciele, sąsiedzi. W Nicei, kiedy w 2015 roku biała furgonetka wjechała w tłum ludzi na nadmorskiej promenadzie, zginęło 86 osób. Rannych było 450. Do tej pory do biura Francuskiego Stowarzyszenia Ofiar Terroryzmu zgłaszają się osoby, które dopiero po latach diagnozują u siebie zespół PTSD. W trakcie procesu Abdelkadera Meraha, brata Mohameda Meraha, który dokonał zamachów i zamordował w 2012 roku siedem osób, zeznawał Loïc Liber – jedyny ocalały, który jest całkowicie sparaliżowany. Mówił ze łzami w oczach, że dla niego ten zamach nigdy nie będzie miał końca. To dlatego Françoise Rudetzki nie może znieść, gdy ktoś mówi, że w zamachu nie było ofiar śmiertelnych, są tylko poszkodowani. Rok po zamachach 13 listopada ceremonie żałobne odbyły się we wszystkich miejscach, które zostały ostrzelane przez terrorystów, oprócz Café Voltaire, bo tam nikt nie zginął. Nazwano nawet ten zamach „nieudanym”. Ludziom łatwiej jest oplakiwać zmarłych, niż wysłuchiwać historii o tragicznym losie rannych. Ofiary zamachów są jak nieproszeni goście – na wózkach, o kulach, poparzeni, w depresji lub po amputacjach – przypominają nam o kruchości życia.